

do miast prowincjonalnych na święta. Kilku wieśniaków, obciążonych niezliczonymi pakunkami, oraz kilkudziesięciu robotników kręciło się w pobliżu kasy. Wszyscy spieszyli spędzić dzień Bożego Narodzenia w gronie krewnych i przyjaciół. Cała chmara dzieci, dziewcząt i chłopaków, niedorostków i podlotków, wybierająca się również do siół i domów rodzinnych, pilnie przyglądała się zbyt powolnie — w ich mniemaniu — poruszającym się wskazówkom na zegarze kolejowym.

Po chwili ujrzałem zbliżającego się Szymona Collivera. Wyglądał jak zły duch w pośród wesolej czeredy, rozchichotanych i rozbawionych dzieciaków.

Usiadłem na jednej z ławek i udając spiącego, przyglądałem mu się bacznie. Przechodząc koło mnie, otarł się parę razy o moje kolana. Tak był chwilami blisko, że całą mocą woli musiałem panować nad sobą, żeby nie zerwać się z ławki i chwycić go za gardło — nie udusić. Nie spojrzał nawet na mnie. Prawdopodobnie przekonany był, że rzeka uniosła już ciało moje do morza, że wyrzucony falą leży kędyś na piasku, a mewy krążą nademną gwałtownym wieńcem.

Widziałem i słyszałem jak kupował bilet do Penryn. Zaledwie odszedł od okienka i ja do tejże samej stacji wziąłem bilet. Spostrzegłem następnie jak w jednym z wagonów wybrał przedział; ja wsiadłem do sąsiedniego. Wóz był przepełniony. Jedyną jednak osobą, na którą przelotnie zwróciłem uwagę, był wprost mnie siedzący wieśniak, o ogorzałej twarzy, powracający niewątpliwie z miasta do swej zagrody i czytający obecnie z wielkim zajęciem dziennik poranny. Lektura musiała go interesować bardzo, bo kiedy niekiedy wznosił oczy w górę, z widocznym, malującym się w nich oburzeniem, zadowoleniem, lub podziwem. Siedziałem cicho w jednym z kątów wagonu, pochłonięty jedyną myślą nie spuszczenia wzroku z przedziału, w którym znajdował się Colliver, zamierzałem bowiem, gdyby przypadkiem chciał go opuścić, udać się w tej chwili za nim. Nie wyszedł jednakże, więc nie ruszyłem się z miejsca.

Po upływie paru minut, rozległo się przeciągłe gwizdnięcie i pociąg potoczył się po szynach.

Wieśniak, przewracając kartki dziennika, tak niemiłosierdzie szeleścił, że mimowoli spojrzeć na niego musiałem. Lecz zaraz potem odwróciłem oczy, przypatrując się okolicy, przez którą przelatywał nasz pociąg. Zastanawiałem się, nie bez smutku, nad licznymi wypadkami, jakie przeżyłem po opuszczeniu stron rodzinnych i przybyciu do Londynu, żeby w stolicy znaleźć powodzenie i szczęście. Szczęście! Czy je osiągnąłem? Wprawdzie doznawałem go w całej pełni kilka miesięcy, w ciągu których miałem serce przepełnione gorącą miłością, lecz zakończyły się one śmiercią ukochanej. Przyjacieli mi najdroższy, z którym tą samą drogą — pełni wiary i nadziei — zdążaliśmy niegdyś razem do miasta, nie żyje również. Oboje zmarli: ona w całym blasku świetnego tryumfu, on w okresie sukcesu, zapowiadającego szereg dalszych, większych może.

Nagle, siedzący naprzeciw mnie wieśniak przemówił.

— Czy pan czytał tę oto okropną wiadomość? Panie Boże odpuść! taka piękna kobieta...

— O co chodzi? — zapytałem dość obojętnie. W miejsce odpowiedzi, podał mi dziennik i wskazał palcem artykuł.

— I pomyśleć tylko — mruzczał do siebie — że widziałem ją na moje własne oczy dni temu cztery. Panie Boże odpuść! grała tak ślicznie, a mnie z pod powiek kapęły łzy ciurkiem... ciurkiem...

Wziąłem dziennik i czytałem;

„Straszną tragedję w teatrze. Samobójstwo o aktorki. Wczorajsze przedstawienie w Kolosseum nowej, a już popularnej tragedji „Francesca“ przerwane zostało w scenie ostatniej najstraszliwszym czynem, jaki kiedykolwiek zgromadzona w teatrze publiczność oglądać miała sposobność. Ponure i groźne przeznaczenie zdaje się ścigać tę sztukę od chwili, jak się ukazała na de-

skach, czytelnicy nasi bowiem przypominają sobie prawdopodobnie, że jej młody i szczęśliwy autor, zaraz po premierze, zabity został przez mordercę, którego policja dotąd jeszcze ująć nie zdołała. Tragedya wczorajsza nosiła poniekąd na sobie straszliwy charakter. Klaryssa Lambert, której talent...” Nie chciałem czytać dalej.

Wieśniak musiał być bezwątpienia wielce zdziwiony, gdy spostrzegł, że dziennik wypada mu z ręki, ja zaś zwracam się do okna i patrzę przez nie znowu, pozornie spokojny, milczący i obojętny.

Pociąg przesunął się wśród pól białych od śniegu — dążył ku rodzinnym moim stronom. Czy jadę powitać swoich? O, nie! Jadę, żeby się spotkać z człowiekiem, siedzącym w odległości paru kroków odemnie. Co jutro stanie się z nim i ze mną? Jutro! Widnokrag zamiarów moich nie sięga tak daleko. Myślę tylko o nocy dzisiejszej.

Pociąg przebiegał na przemian to pola śnieżne, to brzeg nad morzem, bijącym spienionymi falami o nasyp kolejowy, dążąc na zachód... wciąż na zachód. Słońce, olbrzymia kula purpurowa, pochylała



„Ukazała się w nich postać brodatego człowieka”.

się ku zachodowi i znikło wkrótce w coraz ciemniejszym zmroku.

Przybyliśmy do Plymouth po piątej, z kilkuminutowym opóźnieniem. Tłum, zapelniający wagony, zwiększył się jeszcze. Już czarna zasłona nocy pokryła niebo, a księżyc jeszcze nie wschodził. Przecież dopiero przy jego świetle można będzie szukać skarbu!

Śnieg prósz. Powoli wlecz się pociąg w poprzek ziem hrabstwa Kornwallii. Zaledwie o ósmej stanimy w Penryn, a wielki odpływ zaczyna się o w pół do dwunastej. Czy przybędziemy na czas?

Śnieg przestał padać. Zaledwie przejechaliśmy most na Saltash, księżyc wypłynął na niebo i zawisł nad lasem, czerniejącym na przeciwnym brzegu rzeki. W noc, przejmującą chłodem, wznosił się coraz wyżej. Pytałem się siebie, jakimi myślami wita go Szymon Colliver?

O wpół do dziewiątej przesiedliśmy się do drugiego pociągu w Truro — z nowym opóźnieniem. Dostrzegłem Collivera, gdy przechodził przez peron. Owinięty był w pled, opasujący tors jego i ramiona, na szyi miał szalik wełniany, mróz bowiem brał nie na żarty. Pod nisko opuszczonem na czoło rondem kapelusza, czarne oczy błyszczały niecierpliwością.

Po dość długim oczekiwaniu, nie wiem na co, ruszyliśmy nareszcie w dalszą drogę.

Penryn!

Spojrzałem na zegarek: dziewiąta. Spóźnienie wynosiło teraz razem przeszło półtorej godziny.

Przy mdłym świetle, jakie z okien wagonów padało na ciemny peron, widziałem jak Colliver wsiadał. Udałem się za nim. I tu było mnóstwo podróżnych, jadących do Helston dylizansem, w którym niemal w mgnieniu oka zajęto wszystkie miejsca wewnętrzne i zewnętrzne.

Colliver wybiegł szybko przed dworzec i wsiadł do czekającego nań dwukonnego powozu. Powóz ten, w cieniu, rzuconym przez most na drogę, pomknął chyżo na wzgórze.

Zapomniałem, że można było zamówić konie telegrafem... Lecz pięciokonny dylizans zwykle jedzie spieszenie, więc nie spóźnię się może...

Znużony niewygodnym siedzeniem w dylizansie, nająłem w Helston powóz i konie pocztowe.

Z początku, ze względu na ubiór majtki, jakim miałem na sobie, żądanie moje wydało się przedsiębiorcy dziwnym i podejrzanym, lecz zapłata, uiszczona z góry, uspokoiła go zupełnie. Powiedział mi, że pewien podróżujący handlowiec zmienił tu konie przed pół godziną, i wypożyczywszy rydel i motykę, kazał się wieść w kierunku Przylądka Lizard. Pół godziny! Czy przybędę na czas?

Rozsiadłem się wygodnie w głębi powozu i zacząłem się zastanawiać. Znałem wybornie, wśród skał wybrzeża i wzgórz piaszczystych mego rodzinnego zakątka, wszystkie ścieżki, skracające drogę. Gdy więc dojadę do pewnego punktu, wysiądę z powozu i pójdę na przelaj pieszo.

Świeże, wypoczęte konie szły ostrego, wyciągniętego klusa.

W miarę zbliżania się do morza, rozpoznawałem pełne dla mnie wspomnień miejscowości. Każda z nich budziła w pamięci wycieczki, jakie odbywaliśmy niegdyś razem z Tomaszem.

Przy pierwszym wzgórzu piaszczystym, rozpoczynającem cały ich długi szereg, ciągnący się wzdłuż brzegów morskich, zatrzymałem powóz i wynagrodziwszy pocztyliona sułtem napiwnym, wyskoczyłem na śnieg, poczem, krokiem gimnastycznym ruszyłem naprzód. Białą księżyc, pochylony nieco ku południowi, wznosił się już dość wysoko nad widnokrag.

Trzymając w ręku pudełko cynowe z ukrytym w niem nożem, biegłem żwawo starą, przed wielu laty wydeptaną ścieżką, przysuta teraz tu i owdzie śniegiem, potykając się na zamarzniętych wybojach i ślizgając się niekiedy na skrzepłych i w lód zamienionych kałużach.

Zaciskając zęby i wyteżając muszkuły, wdrapałem się na pagórek, zaślaniający od wschodu Polkimbry, poczem szybko zbiegać zacząłem wąwozem, wiodącym pod prostopadłe ściany urwistych skał w stronę Lantrig. Przy-

puszczałem, że Colliver przybędzie od Zatoki Polkimbry, ja zaś postanowiłem dotrzeć do Skały Umarłego od strony północnej nad Zatoką Gotowych Pieńdzy.

Stary mój dwór w Lantrig jaśniał rześmym oświeceniem. Wszakże to był wieczór Bożego Narodzenia. W chwili, gdy ostrożnie spuszczałem się z pochyłości na wybrzeże, widok tych światła nappełnił serce moje przejmującym smutkiem.

U stóp pagórka zatrzymałem się, aby spojrzeć na zatokę.

Nad nią, jak zawsze ponura i groźna Skała Umarłego — symbol przeznaczenia, rzucającego cień żaloby na mój żywot cały — rysowała się ostrym profilem na niebie, rozjaśnionem blaskiem księżyca. Tu, u jej stóp, poczęła się moja nienawiść; tu powracałem dzisiaj, aby czynem zemsty nienawiści tej uczynić zadość. Sroga strażnica skarbu, za który dziad mój sprzedał duszę piekłu, ojciec dlań legł trupem, a ja utraciłem wszystko, co nadaje wartość doczesnemu życiu, wznosiła się dumnie i hardo nad morskim wybrzeżem.

(Dokończenie nastąpi).